

BŁYSZCZĄCE WODY
WOKÓŁ RAJSKIEJ WYSPY.

I ŚMIERĆ, KTÓRA SIĘ
NA NIEJ CZAI.



WYSPA

ZAGINIONYCH DZIEWCZĄT

ALEX MARWOOD

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE ISLAND OF LOST GIRLS

Copyright © Alex Marwood 2022
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Izabela Matuszewska 2023

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki: Justyna Nawrocka

Zdjęcia na okładce: © Jaroslaw Blaminsky/Trevillion Images;
Igor Kovalchuk/Shutterstock (*ślady na pomoście*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Prolog

Spogląda na skały piętrzące się ponad Grota de las Sirenas. Nie możliwe, żeby mówił poważnie, myśli. Mają co najmniej pięćdziesiąt metrów, a każdy głupiec wie, że nadmorskie klify ciągną się co najmniej tak samo głęboko pod wodą, co w górę nad powierzchnią.

– Przecież nikt tu nie łowi ryb.

– Zgadza się – odpowiada zdziwiony Felix. – Właśnie w tym rzecz. – Wybucho śmiechem, gdy Mercedes rzuca mu to swoje spojrzenie. – Właśnie dlatego roi się tu od langust. To pływająca kopalnia złota.

– Nie bez powodu... – zaczyna Mercedes, po czym milknie na widok jego miny.

Felix Marino śmieje się w głos. Boże, ależ ten chłopak jest nieznośny. Wszystko go śmieszy. Wszystko.

– Boże, Mercedes! Serio? Boisz się syren?

Mercedes czuje ukłucie rozdrażnienia. Ludzie unikali Grota de las Sirenas od tysiąca lat. Kim on jest, żeby drwić z mitów i legend?

– Nie bądź głupi – rzuca ze złością. Ale zerka na głębinę z tłumionym niepokojem.

– Daj spokój, Mercedes. Wiesz, że jesteś jedyną osobą na wyspie, która potrafi zejść tak głęboko. Nikt inny nie dotrze do tych pułapek. Po prostu zamknij oczy i pomyśl o dwudziestu amerykańskich dolcach za sztukę.

– Och, zamknij się, dobrze? – burczy Mercedes.

Dzień jest piękny, wiatr tak łagodny, że fale prawie się nie pienia, rozbijając się o wielkie złote klify. Słońce minęło zenit i załaziło blaskiem tę stronę wyspy. Ale to nie ma znaczenia. Pod tą skalną półką w głębinie panuje nieprzenikniony mrok.

Kolejne dżgnięcie niepokoju. A jeśli naprawdę usłyszą mnie tam na dole syreny z legend? *Las sirenas*? Jeśli wyłonią się z głębin z mięsistymi ogonami, włosami jak morskie wodorosty oraz tysiącem srebrzystych zębów i wciągną mnie na zawsze w otchłań?

– Jak tam głęboko? – pyta niepewnie.

Felix wzrusza ramionami.

– Góra sześć, siedem metrów – mówi, po czym milczy o ułamek sekundy za długo. – Może dziesięć. Pułapki o coś zaczepiły, nie mogę ich wyciągnąć. Tata mnie zabije, jak się dowie, że przepłynąłem tu łowić.

Mercedes zastanawia się przez moment.

– Możesz mi rzucić kotwicę? Coś, czego będę mogła się trzymać?

– Jasne. – Felix idzie na dziób i wrzuca kotwicę do wody. Lina opada pięknie, idealnie pionowo, zaledwie metr od skalnej ściany.

Ten dreszcz adrenaliny, kiedy Mercedes wchodzi w wodę – nic nie może się z nim równać. Uderzenie zimna po rozpalonym słońcem powietrzu. Chwila, kiedy głowa rozcina powierzchnię, a ciałem wstrząsa szok, jakby trafiło na twardej mur. A potem nagłe cudowne poczucie bezcielesności. Namiastka latania, jedyna, jakiej kiedykolwiek doświadczę, myśli. Odpycha się płetwami i rozcina morską toń. Nad jej ramieniem w wodę wlewa się złocisty blask słońca, po czym powoli niknie w głębinie, aż w końcu połyka go czarna czeluść.

W jej stronę płynie spirala fosforyzujących paciorków. Przebiegają ją lodowate ciarki – znajoma chwila, balansowanie na krawędzi paniki, którą musi stłumić, wcisnąć z powrotem do środka. Ten moment następuje za każdym razem, gdy wchodzi do morza, ponieważ woda żyje.

Płyń dalej. Stara się nie myśleć o rekinach.

. . .

Mercedes skrywa tajemnicę, której nigdy nikomu nie wyjawiała. Ma nadzieję, cichą, lecz gorącą, że syreny naprawdę istnieją. Że pewnego dnia stanie się jedną z nich, czymś więcej niż zwyczajną nastolatką z małej wysepki na skraju cywilizacji, obdarzoną darem wstrzymywania powietrza przez długi czas.

Przekłada dłoń za dłonią po linii kotwicznej, pracuje nogami, żeby zanurzyć się głębiej, coraz dalej od migoczącego nieba. Światło przedziera się przez wodę warstwami. Przy powierzchni jest przejrzystym fioletem, dalej odcieniami błękitu, które odzierają jej skórę z opalenizny. Jeszcze niżej, gdzie lina znika w odmęcie, pozostaje kojąca głęboka zieleń. Wreszcie czarna otchłań, gdzie leżą pułapki na homary. Na granicy każdego pasma Mercedes zatrzymuje się na chwilę, ściska nos i dmucha, dopóki w uszach nie wyrówna się ciśnienie. Wyćwiczyła tę czynność tak doskonale, że zajmuje jej tylko kilka sekund.

Obok niej śmiga ławica srebrzystych ryb z żółtymi paskami na bokach. Sto. Dwieście. *Sarpa salpa*. Ryba halucynogenna. Pełno ich tu, bo rybacy wyrzucają je z powrotem do morza. Zjedzenie jej mięsa może wywołać halucynacje, które utrzymują się nawet przez kilka dni.

Mercedes nie zwraca na nie uwagi. Jest skupiona. Jej serce bije powoli i miarowo, krew krąży w ciele spokojnie i łagodnie. W ciągu ośmiu lat praktyki – początkowo pchała ją ciekawość, potem determinacja, a kiedy dostała od Tatiany Meade tę maskę i płetwy, nabożny podziw – nauczyła się wchodzić w stan hipostazy, gdy tylko zanurza się w głębinę. Na dole potrzebuje niewiele tlenu, tylko tyle, by podtrzymać funkcje życiowe. Ma trzynaście lat i potrafi wstrzymywać oddech na ponad sześć minut. Przed dwudziestką zamierza wydłużyć ten czas do dziewięciu.

Mam szczęście, że urodziłam się właśnie teraz, kiedy

dziewczęta mogą wchodzić do wody bez wywoływania skandalu, myśli. To jest moje miejsce.

. . . .

Odkrywa, dlaczego Felix nie może wyciągnąć pułapka na homary – lina zaplątała się w wielką kolonię jeżowców i uwięzła. Mercedes wyciąga zza pasa nóż i delikatnie trąca nim jedno ze stworzeń. Przez kolczasty dywan przebiega fala niczym flaga łopocząca na wietrze – jeden osobnik mówi drugiemu, a ten następnemu, że zjawił się intruz, i wszystkie nagle się kułają. Są takie dziwne, myśli Mercedes. Niczym istoty z innej planety. Podobnie jak wiele rzeczy tu na dole.

Ze szczeliny wyłania się piękna czerwona ośmiornica, łypie na nią złowrogo, po czym oddala się z godnością.

Może gdybym podpłynęła od dołu?

Czuje w uszach dotkliwy wzrost ciśnienia, mimo to schodzi po linie jeszcze niżej, pod spód skalnej półki. W tym miejscu, gdzie nie dochodzi słońce, robi się zimno. I ciemno. Skóra jej lodowacieje, więc Mercedes zaczyna się spieszyć.

Tu tkwi problem. Najeżony kolcami wielki, gęsty węzeł mocno trzyma się liny. Mercedes wyjmuje nóż i zaczyna odrywać jeżowce. Wsuwając ostrze pod spód, by podważyć ten żywy zlepek, zaczepia o kolec i gwałtownie cofa dłoń. Masz u mnie dług, Felixie Marino, myśli. W końcu udaje jej się usunąć ze sznura kolonię wielkości pledu i kiedy jeżowce opadają głębiej, czuje, że lina została uwolniona.

Coś się porusza. Coś bladego i spęczniałego.

Mercedes drga. Gwałtownie wierzga nogami. Szarpie za linę.

Nie. Nie. Nie. Nie wolno ci wpadać w panikę. Jeśli zaczniesz panikować, zginiesz. Przestań, Mercedes. Przestań.

Nieznany obiekt się zbliża.

Instynktowny odruch, by odbić się w górę, by pomknąć ku powierzchni, chwytają ją jak imadło. Oddech zaczyna palić.

Uspokój się. Musisz zachować spokój.

Napływa większa fala i wzburza ton niczym podmuch wiatru. Coś się odrywa od wzdętej bladej masy, odskakuje i zawisa nieruchomo. Przestraszona niespodziewanym ruchem ławica drobnych rybek pierzcha, kłębi się w toni, po czym wraca, żeby dalej skubać pływający przedmiot.

Dopiero po dłuższej chwili Mercedes uprzytamnia sobie, że patrzy na ludzkie ramię. Białe jak śnieg, którego nigdy w życiu nie widziała, podrapane i wygryzione, napęczniałe wodą, z dłonią wskazującą w dół, w kierunku otchłani.

Jej przeponą wstrząsają spazmy. Spomiędzy warg wydobywa się bąbel powietrza.

Nadpływa kolejna fala i ciało znów się porusza. Obraca się i pokazuje wytrzeszczone białe oczy jej siostry, Donatelli.

NIEDZIELA

1|Mercedes

– Mercy!

Mercedes czuje, jak napinają się jej ramiona. Nienawidzi tego zdrobnienia. Znosi je od trzydziestu lat, bo żadne protesty nie odnoszą skutku.

– Jak się masz, Tatiano? – pyta.

– Dobrze, złotko. Oczywiście poza tym, że musiałam sama wykonywać te przekłete telefony.

– Ojej. A gdzie jest Nora?

Od kilku dni czekała na telefon od asystentki Tatiany. Wygląda na to, że to ściskanie w dołku, które ją męczyło, ilekroć zastanawiała się nad dziwnym milczeniem dziewczyny, nie było bezpodstawne.

– Och, nie ma jej – rzuca Tatiana tym szczególnym rozpromienionym tonem, który oznacza coś dokładnie przeciwnego. – Pozbyłam się tej głupiej zdziry.

– Aha – odpowiada krótko Mercedes.

Lubiła Norę. Dźwięk jej profesjonalnego amerykańskiego akcentu w telefonie działał uspokajająco, jakby zapewniał, że chaos nie wyważy drzwi.

– Tak czy inaczej... – ciągnie Tatiana, która wyrzuciła już swoją asystentkę do wewnętrznego kosza na śmieci, a umowa o

zachowaniu poufności gwarantuje, że nie będzie w przyszłości żadnych komplikacji – wiem przynajmniej, że na tobie mogę polegać.

– Nie jestem pewna, czy powinnaś – mówi spokojnie Mercedes. – Skąd wiesz, że nie jestem na przykład tajną agentką?

Tatiana uznaje to za żart. Boże, ten śmiech. Ten dzwoniący głos kobiety światowej, upewniający, że nie ma w nim ani krzty wesołości. Moim największym atutem jest to, że ludzie mnie nie doceniają, dochodzi do wniosku Mercedes. Tatianie nie przyszłoby do głowy, że mogą mieć dość wyobraźni, by ją zdradzić.

– Zobaczmy cię wkrótce? – pyta Mercedes.

Od wielu dni siedzieli jak na szpilkach, czekając na wieści.

– Tak! – woła Tatiana. – Właśnie dlatego dzwonię! Przyjeżdżamy we wtorek.

Myśli Mercedes zaczynają galopować. Jest tyle do zrobienia. Tyle ludzi, których trzeba powiadomić. Na białym obiciu kanapy nadal widać plamę po samoopalaczu byłej żony któregoś z oligarchów. Wygląda, jakby ktoś, siedząc na niej, dostał biegunki. Ursula wątpi, czy kiedykolwiek zejdzie.

– Doskonale – odpowiada wesoło Mercedes.

Czy Nora Neibergall wynajęłaby w zeszłym tygodniu dom byłym żonom oligarchów, gdyby nadal pracowała? Prawdopodobnie nie. Wszyscy wiedzą, że oligarchowie to banda zwierzaków. Prawdopodobnie Nora odeszła jakiś czas temu, tylko nikt nie poinformował o tym Mercedes.

– Ile was będzie? – pyta.

To beztrioskie „my” w oświadczeniu Tatiany napętnia ją złymi przecuciami. „My” może oznaczać wszystko – dwoje lub piętnaścioro. O Boże, gdzie jest Nora? Dlaczego Tatiana musi zawsze wywoływać konflikty z osobami, które ułatwiają innym życie? Kwiaty? Czy już za późno, żeby zamówić białe róże? Wazon w holu wymaga białych róż. Żaden inny kolor nie wchodzi w grę. To jedna z zasad domu. Choćby to był środek grudnia.

– Och, tylko ja i kilka znajomych dziewcząt – mówi Tatiana.

Mercedes rozluźnia się z ulgą.

– Dokładnie cztery – dodaje Tatiana. – Ale będą spały po dwie w sypialniach z tyłu domu.

W tym zdaniu zawiera się wszystko, co Mercedes potrzebuje wiedzieć. A więc niezupełnie znajome dziewczęta.

– Tata przyżywa w czwartek – ciągnie Tatiana. – Będzie jeszcze kilka innych osób, ale zdaje się, że przylecą śmigłowcem.

Zatem VIP-y. Diuk udostępnia swój śmigłowiec tylko ważnym osobistościom. Inni sami muszą sobie charterować samoloty.

– Doskonale. Czy mam zamówić czyszczenie łodzi?

– Nie – odpowiada Tatiana. – Nie zwracaj sobie głowy. Tata przesunął w tym roku swój wieczór samców. Wyjeżdżają w niedzielę z samego rana, prosto z balu. Możesz zamówić czyszczenie, kiedy wrócą. Pewnie wszyscy jesteście okropnie podekscytowani? Takie przyjęcie musi być najbardziej podniecającą rzeczą, jaką w dzieliście od wieków.

Tak, to by znaczyło, że jesteśmy zaproszeni.

– Oczywiście – odpowiada w końcu Mercedes. – Tydzień Świętego Jakuba jest zawsze wielkim wydarzeniem.

– Tak, ale przyjęcie to zupełnie co innego – mówi Tatiana. – Na wyspie dosłownie zaroi się od gwiazd.

Gwiazdy są najmniejszym zmartwieniem Mercedes.

– Ilu gości w sumie się spodziewamy? – pyta. – Chcę być pewna, że przygotowujemy dość pokoi.

– Och, nie wiem... – odpowiada Tatiana. – Sorki – dodaje po chwili przerwy niczym nastolatka.

Mercedes milczy i czeka.

– Myślę, że troje – odzywa się w końcu Tatiana. – I tata, oczywiście... chyba. Sama wiesz, jaki on jest. Nigdy nie udziela informacji, której ktoś mógłby naprawdę potrzebować.

Powiedziała nieodrodna córka swojego ojca.

– Może czworo... Lepiej przygotować się na czwórkę.

– Przygotuję wszystkie sypialnie – oznajmia Mercedes.

– Jakieś wymagania dietetyczne?

– Ach, tak. Uprzedź... no, jak on się nazywa?

Mercedes czeka, aż usłyszy, kim jest „on”.

– No, szef kuchni – rzuca ze zniecierpliwieniem Tatiana.

– Roberto.

– Właśnie. Uprzedź go, że w piątek wieczorem planujemy nie-wielką imprezę. Powiedzmy, wieczór kawalerski samców.

Brrr. Mercedes wie, co to znaczy. Z drugiej strony: wolny wieczór dla całego personelu. Czyli... nie umie policzyć wszystkich w głowie.

– Na ile osób? – pyta.

– Skąd mam wiedzieć? – burczy z irytacją Tatiana. Po chwili się reflektuje. – Przepraszam, złotko. Działam pod okropną presją. Próbuję się spakować, żeby jutro polecieć do Rzymu, i nie mam kompletnie nikogo do pomocy. Jestem taka zestresowana.

Ty jesteś zestresowana.

– Przykro mi – mówi uspokajająco Mercedes i zapisuje wszystko, co udaje jej się zapamiętać.

Nie ma wątpliwości, że jej ośmioosobowy odpowiednik w Nowym Jorku napłynie całą ławą, żeby spakować ubrania Tatiany do walizki. Czasem kręci jej się w głowie na myśl o wszystkich osobach znajdujących się na liście płac Matthew Meade’a. O ludziach, którzy na całym świecie codziennie troszczą się jedynie o odpowiedni zapas papieru toaletowego w ich łazienkach.

– No i naturalnie w sobotę wszyscy jedziemy do Giancarla.

Giancarlo. Mercedes nigdy nie przywyknie do tego, z jaką niedbałością Meade’owie mówią o diuku. Zaledwie dwa pokolenia temu wieśniacy na wyspie musieli się odwracać twarzami do ścian, kiedy przechodzili obok jego przodkowie.

Przez cały lipiec na wyspie wrzały gorączkowe przygotowania. W tym roku diuk kończy siedemdziesiąt lat i w zamku odbędzie się *bal masqué*, uznany przez czasopismo, które regularnie ląduje pod drzwiami domu, za „przyjęcie roku”.

Winnice wyglądają jak tło namalowane na płótnie, cieleta tuczą

się na młecznej diecie, frontony domów na Kastellanie zostały odnowione i pomalowane. Według magazynu „Hello!” La Kastellana zadaje w tym roku szyku niczym nowe Capri.

– Tak – mówi Mercedes.

– Och, Mercy – piszczy Tatiana. – Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę. Musimy sobie porządnie popłotkować, jak za starych dobrych czasów.

– Dopilnuję, żeby czekała na was cudowna kąpiel, kiedy przyjedziecie – zapewnia Mercedes. – I dobre zimne drinki.

Rzecz jasna nie będzie czekać z wodą lejącą do wanny. Obsługa z lądowiska daje znać, kiedy przylatuje VIP.

– O Boże, jesteś aniołem – mówi Tatiana i rozłącza się.

2|Robin

Robin Hanson biegnie na rufę górnego pokładu i przechyla się przez reling. Od nudności świat wiruje jej przed oczami. Zamyka oczy i łykając hausty słonego powietrza, czeka, aż miną mdłości.

Gemma, mówi głos w jej głowie. Gemma. Gemma, proszę, bądź tutaj. Bądź tutaj cała i zdrowa. Pozwól mi się znaleźć.

Na horyzoncie wyłania się La Kastellana – złote klify piętrzące się na lazurowej tafli. W innych okolicznościach byłaby to prawdziwa rozkosz: płynąć w pełnym blasku słońca po Morzu Śródziemnym w nieznanne miejsce. Ale bez Gemmy nic jej nie cieszy.

Zalewa ją kolejna fala nudności, które ją męczą od czasu, gdy straciła córkę. Sytuację pogarsza beczynność. Kiedy może zająć czymś myśli – kiedy wmawia sobie, że coś robi – zawroty głowy łagodnieją. Lecz gdy życie zmusza ją do bezruchu, a umysł zaczyna błądzić, żołądek znowu podchodzi jej do gardła. Zimno wędruje wzdłuż ramion, chwyta za barki i znowu robi jej się niedobrze.

Cały ostatni rok wymagał od niej dużo czekania.

. . .

Z jakiegoś powodu wyobrażała sobie, że jedzie w miejsce, gdzie za pieniądze można kupić piękno. Że opiewana „transformacja” wyspy w „nowe Capri” odbędzie się na zrębie kultu Starej Kastellany. Lecz nie wzięła pod uwagę upodobań bogaczy. W nowej

przystani tłoczą się rząd za rzędem identyczne ogromne białe jachty. Sto miliardów dolarów identycznych rezydencji z włókna szklanego oraz rozparte na klifie miasto ze szkła i betonu, zapewniające im obsługę.

Przy wejściu na trap zebrał się tłum. Robin uznaje, że to głupota sterczeć z ciężkim plecakiem w południowym słońcu, więc idzie na dziób, by zobaczyć, jak ludzie schodzą z pokładu. Na burtach promu wiszą wielkie opony, objijają się o kadłub, odskakują, po czym znowu się odbijają. Tłum faluje z niecierpliwości.

– To ciekawe, prawda? – odzywa się ktoś obok niej. – Spieszymy się do wyjścia, jakby mieli nas zamknąć w środku, jeśli nie zdążymy na czas.

Odwraca się. Obok niej stoi mężczyzna, kilka lat młodszy od niej, może po trzydziestce, ale dziwnie dojrzały, o skórze, która widziała mnóstwo słońca, i cienkich brwiach. Ma na sobie panamę i lniany garnitur. Opiera się o reling i uśmiecha całkiem życzliwie.

Robin odpowiada powściągliwym skinieniem głowy; nie jest pewna, czy ma ochotę na pogawędkę.

– Wakacje? – pyta mężczyzna.

Znowu skinienie. Robin nie zamierza opowiadać o swoich sprawach pierwszemu lepszemu cwaniakowi na statku. Poza tym nie ufa własnemu głosowi. Do tej pory, kiedy mówi o Gemmie, zalewa ją fala emocji.

– Pierwszy raz? – wypytuje dalej mężczyzna.

– Tak – odpowiada w końcu Robin. – A pan? – dodaje, ponieważ jest Angielką i nie potrafi być nieuprzejma.

Zerka na niego nieufnie. Facet jest prawie karykaturalnym uosobieniem Brytyjczyka za granicą. Jasne włosy ostrzyżone starannie, lecz bez fantazji, do tego ten len. Mówi z czystym akcentem ekskluzywnych szkół prywatnych, co zawsze ją przytłacza i budzi w niej podejrzliwość. I te półbuty. Trzydzieści stopni, praży słońce, a on nosi brogry!

– Och, nie, skądże – mówi. – Byłem tu wiele razy.

– Rozumiem. U przyjaciół?

Mężczyzna kręci głową.

– Interesy. Jestem handlarzem win. Chociaż w tej branży gra-
nice się nieco rozmywają... – Śmieje się.

Czemu ona w ogóle z nim rozmawia? Jakby naprawdę przyje-
chała tu na wakacje i beztrudnie zabijała czas pogawędkami.

– Nie wiedziałam, że jest rynek na tutejsze wina.

Mężczyzna odrzuca głowę w tył i znowu wybucha śmiechem.
Jeden z tych facetów, których wszystko na świecie śmieszy.

– Ależ, dobry Boże, nie! Nie kupuję ich! To trujące paskudztwo!

– Naprawdę? Słyszałam, że są dobre.

Mężczyzna znów się śmieje.

– Owszem, zapewne niezłe dla turystów.

Daje mi do zrozumienia, że należy do wyższej klasy, dochodzi do
wniosku Robin. Żeby nie brała go za prostaka. Czemu w takim razie
ze mną gada? Jestem ucieleśnieniem londyńskiego przedmieścia.

Wyciąga rękę w stronę flotyli lśniących białych jachtów, po
czym zatacza nią łuk, wskazując wille, apartamentowce i hotele.
To intrygujące, jak bogaci ludzie lubią biel. Pewnie chcą przez to
pokazać, że stać ich na utrzymanie swojego majątku w nieskazi-
telnej czystości. W końcu prawie wszystko, co robią, sprowadza
się do afiszowania się ze swoimi pieniędzmi.

– Aha – mamrocze Robin.

– Lipiec jest doskonałym miesiącem dla handlu – ciągnie nie-
znajomy. – Poza tym w tym roku w zamku ma się odbyć wielkie
przyjęcie. Jutro przyplywa mój kontener.

– Tak?

Mężczyzna praktycznie nie robi przerwy na zaczerpnięcie po-
wietrza.

– Mam nadzieję, że zarezerwowała sobie pani pokój. W tym
miesiącu wyspa dosłownie ropyje od prasy brukowej, a główne
hotele od trzech lat są zajęte dla gości diuka. Nie ma pani szans,
jeśli jeszcze niczego sobie nie zabukowała.

Robin kiwa głową.

– Chyba udało mi się zdobyć ostatni pokój w mieście – mówi.

Musiła prawie wziąć drugi kredyt hipoteczny, żeby wynająć ten pokój bez łazienki.

– To dobrze – odpowiada mężczyzna. – Tych chodników naprawdę nie przystosowano do spania.

Silnik dygocze i wreszcie cichnie.

Robin przygląda się jachtom zacumowanym w porcie. Boże, są naprawdę olbrzymie. Kutry rybackie wyglądają przy nich jak karły i wcale nie dlatego, że są małe. Te jachty to pływające rezydencje, pałacowe McDonaldy ze szpiczastymi dziobami, trzypiętrowymi górnymi pokładami i bez najdrobniejszych szczegółów, które pozwoliłyby odróżnić je od siebie.

– Gdyby było mnie stać na jacht – rzuca bez namysłu – zrobiłabym z niego statek piracki. Tamte wyglądają tak... – z wysiłkiem szuka odpowiedniego określenia – identycznie.

Mężczyzna znowu wybucha śmiechem.

– Och, droga pani, każdy, kto zrozumie konformizm bogaczy, może się na nim dorobić. Im nie zależy na rzeczach unikalnych. Oni chcą tego, czego pragną wszyscy inni. Dlatego właśnie muzeów nie stać już na dzieła dawnych mistrzów.

– To coś w rodzaju plakietki członkowskiej.

– Tak.

Na nabrzeżu dwóch szpakowatych mężczyzn w kaloszach opuszcza trap. W tłumie znów panuje poruszenie, ludzie się przepychają, jakby wchodzili na pokład samolotu Ryanaira. To nie bogacze, a ta wyspa to nie Ajia Napa. Ci, którzy tam czekają, to drobna burżuazja z biur turystycznych, odhaczająca kolejne zaliczone wyspy, by móc powiedzieć, że tu była. Pięć lat temu wszyscy ciągnęli na Pantellerię, ale łodzie z imigrantami ostudziły ich zapał, chociaż za nic nie przyznaliby się do tego na przyjęciu w Islington. Uwielbiają szczyptę miejscowego kolorytu, ale ludzkie odchody w plastikowych workach to już dla nich za wiele.

Robin bierze do ręki plecak i próbuje przerzucić go przez ramię. Ostatni raz robiła to ćwierć wieku temu i nic tak nie przypomniało jej o upływie czasu, jak właśnie ten moment.

– Pani pozwoli, że pomogę – mówi nieznamy i podtrzymuje jej plecak, żeby mogła zapiąć sprzączki. Potem kontynuuje wywód, jakby w ogóle nie przerywał. – W każdym razie o tej porze roku zawsze warto tu przyjechać. Na urodziny księcia zjeżdża się mnóstwo ludzi, nawet jeśli nie ma takiej okazji jak tym razem. Wpadają tu w drodze do Cannes. Potem ruszą do Szkocji na sezon mordowania ptaków. W sierpniu robi się za gorąco na Morze Śródziemne. Oddają jachty w czarter ludziom, których nie stać na własne...

Robin zdaje sobie sprawę, że ten człowiek nie przestanie gadać, więc rusza w stronę wyjścia. Nieznajomy idzie za nią i usta nie zamykają mu się ani na chwilę. Ma ze sobą tylko małą torbę podróżną i pokrowiec na garnitur. Mężczyźni to szczęściarze. Nie mija nawet dziesięć minut, żeby Robin nie potrzebowała jakiegoś kosmetyku do poprawienia wyglądu.

Jej towarzysz przystaje, kiedy schodzą na brzeg, a nogi Robin oswajają się z szokiem nieruchomego podłoża. Podróż na wyspę trwała osiem godzin i słońce dawno minęło zenit. Na przystani pod krzykliwymi parasolami restauracji ludzie kończą lunch, a jej towarzysze podróży ustawiają się w kolejkach i czekają na stoliki.

Mężczyzna rozgląda się w zadumie.

– Zmieniło się tu... oczywiście – mówi.

Nagle jakby powraca do rzeczywistości. Spogląda na swój wielki zegarek – Robin domyśla się, że powinna go zauważyć i rozpoznać markę – i stuka obcasami w dziwacznej kombinacji wojskowych manier z aurą Szmargdowego Grodu.

– Muszę lecieć – oznajmia. – Mam bardzo napięty grafik.

Po czym odchodzi bez słowa i Robin zostaje sama.

Gawędziarz, myśli. Archetypiczny gadatliwy Anglik. Dobrze, że nie będę mieszkać w tym samym hotelu co on.

3|Mercedes

Mercedes idzie do miasta asfaltową drogą. Za jej dzieciństwa była to ścieżka, którą pędzono kozy. Widoki w tamtych czasach zapierały dech w piersiach, mimo że trzeba było patrzeć pod nogi, żeby nie skręcić kostki. Po prawej lazurowe Morze Śródziemne, maleńkie tęczowe łódki unoszone przez morskie prądy. Na lewo hektary wyskubanych przez kozy zarośli poprzecinanych regimentami żółtozielonych winnic, pnących się aż pod przedmurza zamku.

Teraz jezdnia jest idealnie równa; Mercedes pewnie stawia kroki, ale jedynym widokiem, na którym można zawiesić oko, są purpurowe bugenwille i delikatne biało-różowe kwiaty zawziętych kaparów, przelewające się przez szczyty wysokich białych murów. Co sto metrów wznosi się czarna metalowa brama, tej samej wysokości co mur, i przechodnia odprowadzają wzrokiem kamery.

Kiedyś czuło się tu podmuchy wiatru. Teraz lipcowe słońce odbija się od oślepiającej bieli, a droga przypomina piec. Oczywiście dla mieszkańców rezydencji to nie ma znaczenia, tylko służba podróżuje do miasta bez klimatyzacji.

Idąc, Mercedes nie oddala się od chłodnej błękitnej wody na więcej niż pięćdziesiąt metrów. Kiedy była młoda, ona i inne dzieci zbiegały po skałach niczym małe gekony i na dole kąpały się na maleńkich kamienistych plażach. Teraz nad morze prowadzą wykute w skałe schody, lecz dostęp do plaży mają tylko bogaci właściciele domów wznoszących się na klifie.

Przybił prom i w Re del Pesce wrze niczym w ulu. Ponad połowa stolików jest zajęta, gabłota z ciastkami prawie opustoszała. Mama zauważa Mercedes na drodze od strony klifów i kiwa do niej głową. Za duży ruch w restauracji, żeby mogła choć na chwilę przerwać pracę. Jest już Laurence; siedzi przy rodzinnym stoliku i obraca filiżankę cappuccino. Mercedes macha mu ręką i wchodzi do środka. Przez chwilę rozkoszuje się powiewem klimatyzatora nad drzwiami i uśmiecha się do kucharza, który stawia właśnie na ladzie dwa talerze ze smażonymi ziemniakami.

– *Jolà* – mówi Mercedes i bierze talerze z kontuaru.

Sprawdza tablicę zamówień. Oczywiście stół na chodniku. To godzina turystów. W środku takie cudownie chłodne powietrze, a oni i tak siedzą w saunach pod parasolami na nabrzeżu i zjadają frytki.

– *Jolà* – odpowiada kucharz. – Wcześniej przyszłaś.

– Nie do pracy. Przykro mi. We wtorek przyjeżdża rodzina.

– A niech to! Wygląda na to, że będziemy mieć dzisiaj młyn.

– Kręci głową, jakby sezon turystyczny zaskoczył ich w środku lata. – Podać ci coś?

– *Café con jelo*.

Mercedes wychodzi z talerzami na dwór, podczas gdy kucharz odwraca się do ekspresu.

Frytki zamówiła para w średnim wieku w identycznych słomianych kapeluszach w kształcie doniczek i identycznych niebieskich batystowych koszulach, które zapewne pochodzą z tego samego katalogu. Anglicy, dochodzi do wniosku.

– Proszę – mówi, stawiając jedzenie. – Czy coś jeszcze państwu podać?

Oboje podnoszą głowy znad przewodników, zadowoleni ze słuszności swojego domniemania, że cały świat mówi po angielsku.

– Nie, dziękujemy – odpowiada kobieta.

Kolejny przejaw północnej swobody. Kobiety z La Kastellany nigdy nie wypowiadają się w imieniu mężów.

Mercedes bierze kawę i idzie z nią do stolika dla personelu, całuje w policzek handlarza win, wymienia z nim *jolà*.

– Dobrze, że już jesteś – mówi. – Wiem, że zamierzałaś przyjechać we wtorek, ale właśnie miałam od niej telefon. Będzie tu wcześniej. Musimy do tego czasu zdobyć całe zaopatrzenie. Przepraszam, że sprawiam ci kłopot.

– Nie ma sprawy – odpowiada beztrząsco Laurence. – Kontener nie wyruszył jeszcze z Marsylii. Macie kilka godzin. Mogę zamówić dla was uzupełnienie zapasów na wtorek rano.

– Ufff, dzięki Bogu.

– Jak myślisz, czego będziecie potrzebować?

Mercedes wybucha śmiechem.

– Nie ma znaczenia, co ja myślę.

Laurence śmieje się razem z nią.

– Słusznie. Rozmawiamy o tym, co wypromował w tym roku „Forbes”, prawda? – Zerka na swoją komórkę. – Masz włączony Bluetootha?

Mercedes sprawdza.

– Nie, przepraszam.

Sparowane telefony wydają ciche pomruki. Laurence się uśmiecha.

– Więc czego potrzebujesz? – pyta.

Mercedes wsypuje do kawy łyżeczkę cukru i miesza. Próbuje, po czym wlewa wszystko do szklanki z lodem. Podsuwa sobie pod nos i wącha. Nie ma kawy, która miałaby silniejszy aromat. I bardziej podnosiła na duchu w upalny dzień.

– Nie jestem pewna. Kończą nam się wszystkie białe, różowego też już prawie nie mamy. W zeszłym tygodniu gościliśmy Rosjan.

Laurence lekko unosi brwi.

– Więc wódki też potrzebujecie?

Mercedes kiwa głową.

– Wszystkich wódek.

Jej rozmówca zapisuje coś w maleńkim notesie maleńkim długopisem na łańcuszku.

– W tej chwili mam wyśmienitego Grüner Veltlinera.
– To nie brzmi zbyt francusko – zauważa Mercedes.
– To samo powiedziała twoja mama – mówi Laurence, przewracając oczami.

– Może po prostu zamówmy powtórkę tego, co lubi.

Laurence ponownie wznosi oczy do nieba.

– Dołączę do zamówienia butelkę. Może uda wam się zwrócić na nie jej uwagę?

Mercedes wybucha śmiechem. Jak na agenta Europolu Laurence ze zdumiewającym zaangażowaniem odgrywa rolę handlarza win.

– Oczywiście. Ale zapewniam cię, że nie będzie chciała nawet o nim słyszeć.

Oba telefony ponownie wydają ciche buczenie. Laurence i Mercedes jednocześnie spuszczaają głowy, a po chwili je podnoszą i patrzają sobie w oczy.

– Przepraszam – mówi cicho Mercedes. – Zawsze mi się wydaje, że z tego, co ci przesyłam, jest niewielki użytek.

– Trudno mi na to odpowiedzieć. Sam jestem tylko płotką. To, co przekazuję wyżej, może coś dla kogoś znaczyć. Mało prawdopodobne, żeby mi o tym powiedzieli, jeśli nie dotyczyłoby to bezpośrednio mojej pracy. Nigdy nie wiadomo, jaka informacja o tym, kto gdzie był i kiedy, może się okazać dla kogoś ważna. Dlatego gromadzimy źródła informacji. A ponieważ wasz diuk trzyma wszystko w tajemnicy aż po kartoteki imigrantów...

Przerywa, bo do stolika podchodzi mama Mercedes i wkładając do kieszeni bloczek na zamówienia, całuje córkę w policzek.

– Przyszłaś wcześniej – zauważa.

– Tak. Przepraszam, mamo. Przyszłam ci powiedzieć, że nie mogę dzisiaj pracować. Dzwoniła Tatiana, przyjeżdża we wtorek.

– Och – wzdycha Larissa, siadając.

– Przykro mi – mamrocze Mercedes.

Jej matka z rezygnacją wzrusza ramionami.

– Nic na to nie poradzisz. Zjesz coś czy już jadłaś?

– Chętnie bym zjadła, ale nie mogę. Muszę iść do kwiaciarza, a potem przygotować dom na jutrzejsze sprzątanie. Szkoda, że nie widziałas, w jakim stanie te kobiety w zeszłym tygodniu zostawiły łazienki. Wszędzie wokół wanien ciemnobrązowe placki. Jak od smaru.

– Fu.

– A Tatiana chce oczywiście na piątek miejscowe langusty. Więc muszę znaleźć Felixa, a nie ma...

– Dobrze, już dobrze – przerywa jej Larissa. Słyszy nutę paniki w głosie córki. – Ale będziesz w Dzień Świętego? Błagam, powiedz, że tak. – Do tej pory nie jest w stanie wymówić imienia świętego. W pewnym sensie obwinia go za cały swój smutek.

Wygląda na zmęczoną, myśli Mercedes. Sześćdziesiąt siedem lat we współczesnym świecie nie uważa się za starość, ale widać wyraźnie, że z roku na rok praca staje się dla niej coraz cięższa i coraz bardziej dokuczają jej ostrogi piętowe. Muszę w końcu załatwić sprawę z Tatianą. Nie może mnie tam trzymać w nieskończoność. Mam czterdzieści trzy lata, moja mama wieczorami ledwo chodzi po pracy, a ja przez trzy czwarte tygodnia śpię sama w jednoosobowym łóżku.

Ścisła dłoń mamy. Pod palcami czuje blizny życia spędzonego w kuchni.

– Już niedługo – mówi, tak samo jak od dwudziestu lat. – Przyrzekam, że po tych wakacjach odchodzę.

Larissa ściąga z ramienia ścierkę i trzepie nią córkę po plecach.

– Phi! Najważniejsze, żebyś tu była w środę. Nie chcesz nawet kanapki? – Odwraca wzrok w kierunku, gdzie pod parasolem schyla się i siada czwórka osób, tak spieczonych słońcem, że mogą być tylko Niemcami. Macha im ręką i dźwiga się na nogi.

– Nie – odpowiada Mercedes. – Dziękuję.

– A ty? – Larissa ruchem głowy wskazuje Laurence’a.

– Dziękuję. Będę musiał coś zjeść na następnym przystanku.

Larissa patrzy na niego spod uniesionych brwi.

– Czyli gdzie?

– W Mediterraneo – odpowiada z roztargnieniem Laurence.

– Oczywiście – rzuca cierpko Larissa. – Skoro masz okazję tam zjeść...

– Och, daj spokój, Larisso. Wiesz, że zawsze wolę zjeść w Re, jeśli tylko mogę – mówi, jakby to była wyłącznie kwestia rywalizacji. – Ale to dobry klient i ma dużo...

– No jasne, założę się, że jest świetnym klientem – przerywa mu Larissa sucho i odchodzi.

– Przepraszam. – Laurence jest speszony. – Chyba powiedziałem coś nie tak...

Mercedes spostrzega przez ramię kuter Felixa Marina przybijający właśnie do nabrzeża. Z ulgą podrywa się na równe nogi, zadowolona z pretekstu, by nie przedłużać tej rozmowy. Dziwne, że Laurence tak mało wie o historii jej rodziny. O tym, że nigdy nie wybaczyli ojcu porzucenia Re dla blasku domów na wzgórzu. Nie powinnam się dziwić, dochodzi do wniosku. Nie jesteśmy przyjaciółmi. Znamy się od lat, lecz ostatecznie jestem zaledwie jednym z jego licznych kontaktów. To tylko pokazuje, jak rzadko ojciec o mnie wspomina. Jesteśmy dla siebie widmami przeszłości.

– Nie przejmuj się – mówi. – Przejdzie jej. Przepraszam cię, ale właśnie wrócił Felix. Muszę iść i zamówić langusty, zanim znowu gdzieś zniknie.

– Powinnaś mu powiedzieć, że dzisiaj też nie wrócisz do domu! – woła Larissa od stolika, gdzie rozdaje anglojęzyczne menu. – *Jala luego.*

– *Ensha.* Pa, mamó.

– Ten człowiek ma świętą cierpliwość.

– Może.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).